

ARTHUR C.
CLARKE

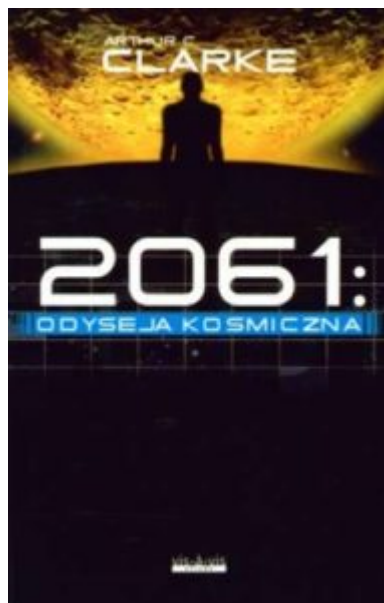
2061:

ODYSEJA KOSMICZNA

WISCIŚWIS
WYDAWNICTWO

Kontynuacja niekontynuacji, czyli niszowa space opera dla miłośników starego gatunku

Fahrenheit Crew



2061: Odyseja Kosmiczna

Arthur C. Clarke

Tłum.: Jędrzej Polak

vis-a-vis Etiuda 2008

Liczba stron: 226

Cena: 21 zł

Śpieszmy się kochać ludzi tak szybko odchodzą... (ks. Jan Twardowski)

Ale czy aby na pewno?

Arthur C. Clarke chyba się zakochał w doktorze Floydzie. Czyż on, po tylu latach od czasów *Odysei 2001*, gdy do młodziaków się nie zaliczał, nie powinien być w grobie?

Tymczasem nie dość, że tak nie jest, to nasz dzielny bohater wybiera się w kolejną podróż. No właśnie. Co jeszcze byłoby wyzwaniem do podboju kosmosu? Gdzie jeszcze nie lądowaliśmy?

- *Halley... Nadchodzę...* - wyszeptał Heywood Floyd.

Nie, to nie żart. Dr Floyd powstaje, może nie z martwych, a z komory hibernacyjnej, i w biegu lecąc skomplikowane złamania kości, wyrusza na ostatnią wyprawę. To znaczy w jego mniemaniu ta

wyprawa ma być ostatnia, reszta w rękach autora.

Niestety dla miłośników gatunku i serii książka niesie trochę rozczarowań. Liczba szpilek wbijanych w miętkie ciało wyobraźni i odautorskiej naiwności jest porażająca: obserwacja lodowego gejzeru na powierzchni komety Halleya, wodowanie rakiety, tak, właśnie rakiety, nie żadnego lądowika czy statku kosmicznego; pospieszna ekspedycja ratunkowa, która, gdy wreszcie dociera na miejsce, wcale nie zachowuje się tak, jak powinna, a wręcz przeciwnie; spotkanie z istotą będącą niegdyś Bowmanem itp.

Wątki konspiracyjne, czyli uprowadzenia rakiety i tajemnica Góry Zeusa zostały zupełnie zarzucone w momencie, gdy spełniły swą rolę. Czytelnik nie otrzymuje żadnych konkretnych wyjaśnień, szpieg/sabotażysta szybko zostaje wykryty i zawiera gębę na wieki wieków. Wszystko z gatunku deus ex machina, zagrania, które sprawiają, że automatycznie wysuwają mi się pazury.

Zupełnie marginalnie zostały także potraktowane monolity – niejako sprawcy całego zamieszania. Podobnie ma się sytuacja z HAL-em. Po 51 latach od ostatnich wydarzeń czytelnik spodziewałby się godnego następcy sztucznej inteligencji, może zwrotów akcji związanych z nowymi technologiami, a tu... kosmiczna cisza. Jakby cała wiedza ludzka stanęła w miejscu. Nasi potomkowie tak poświęcili się budowaniu baz na Merkurym, Ganimesie i księżycach Saturna oraz modernizacji wnętrz rakiet, że zapomnieli o udoskonalaniu satelitów i sond badających powierzchnie ciał niebieskich, rozwoju informatyki, SI. Jakiej technologii używali w pierwszej *Odysei* (2001), tak i teraz borykają się z identycznymi problemami, czyli, sława Bohu, sześćdziesiąt lat później.

Także wątek samej komety Halleya, choć jest barwnym akcentem opowieści, w sumie nie prowadzi nigdzie. Ot, zapchajdziura, powód, by reanimować Floyda i zachować jego linię genetyczną.

Książce brakuje także akcji, niespodziewanek, do jakich autor przyzwyczaił nas w poprzednich tomach. Za każdym razem zdaje się, że już za rogiem, na następnej stronie, w następnym rozdziale, te fajerwerki orgazmicznie wystrzelą w niebo, przy czym nieodmiennie okazują się zwykłym niewypałem.

Nie znaczy to, że opowieść jest nudna. Jest wyjątkowo barwna, wielopoziomowa, zawiera mnóstwo elementów hard SF, egzotycznych scenerii i form życia. Krąży wokół postaci bohaterów i ich odmiennych sposobów postrzegania; narracyjnie płynie, natomiast brak jej porywu, spontaniczności. Jest jak rozlana po równinie rzeka, meandruje sobie leniwie, niespiesznie, opływa wszystkie przeszkody i wpada do oceanu. Koniec. Żadnego wodospadu, katarakty, żadnej najmniejszej nawet tamy czy mostu, pod którym trzeba by się schylić.

Tratwa płynie dalej. Sięgamy po *Odyseję kosmiczną: 3001*.

Na niewątpliwy plus natomiast można zaliczyć clarkowy entuzjazm w odkrywaniu nowych miejsc, przenoszenia akcji, jakby nie była szczątkową, w niespotykane dla innych autorów space oper miejsca. Podobnie udało mu się wreszcie urozmaicić bohaterów. Zamiast po raz kolejny ciągać po kosmosie bandę sztywnych naukowców, wojskowych i inszych "zawodowców", w całą śmietankę inteligencji i zaradności wcisnął cywilów – pasażerów. Wreszcie jakaś odmiana, naprawdę miła, kolorowy akcent. Opowieść zdecydowanie różni się od poprzednich części, ponieważ tutaj głównym motorem napędowym są ludzie rzućni w nieprzewidziane sytuacje, dziwnie, nieludzkie miejsca.

Chociaż Clarke zastrzega w notce od autora, że wszystkie cztery historie są niezależne, to jakoś mu nie wierzę. Na moje oko, cała *Odyseja* w 2061 jest przydługim wstępem do epilogu cyklu. Autorowi brakło pomysłu, jak pociągnąć wątki rozplątane w poprzednich tomach, co zrobić z Monolitem,

cywilizacją żyjącą na Europie. Potrzebował sposobu, by jednak zajrzeć tam, gdzie wzrok nie sięga, łamiąc odgórny nakaz z pierwszej części: *Wszystkie światy są wasze, oprócz Europy. Nie próbujcie tam lądować.*

Udało się, choć nie można do końca pochwalić sposobu, w jaki to osiągnął. Jednak dla tych, którzy przyzwyczajeni są do space oper pisanych wedle starej szkoły, jest to obowiązkowa pozycja do przeczytania.

Pozostawia lekki niedosyt (nie mylić z niesmakiem), ale rzuca, w samej już końcówce, trochę światła na wcześniejsze wydarzenia, postaci, a także odkrywa dalsze losy ludzkości, które Clarke rozwinie w wielkim epilogu. Ale o tym już kiedy indziej.

Hundzia